

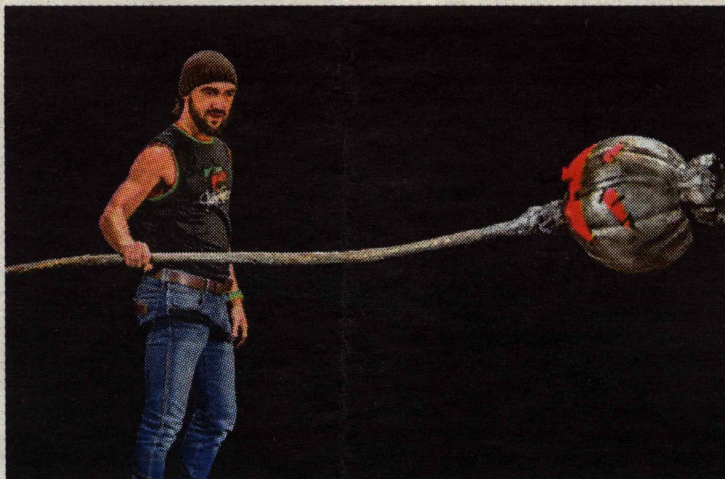
„Dziady” w Teatrze Narodowym

Litewski reżyser Eimuntas Nekrosius zagościł w Polsce po raz kolejny. W latach 90. ubiegłego wieku gościł w teatrach Poznania, Krakowa i Warszawy. Wtedy to patrzył na teatr „po bożemu”. Tworzył spektakle wierne autorom i treściom ich utworów. Dziś spojrzenie na teatr reżysera diametralnie się zmieniło. I choć część krytyki uważa jego osiągnięcia za wielkie, niepowtarzalne i niemal wizyjne, są to spektakle coraz trudniejsze w odbiorze. Trudne, skomplikowane inscenizacyjnie przedstawienie stworzył Nekrosius w warszawskim Teatrze Narodowym. Najkrócej można by je określić jako kompilacja symboli, zapożyczeń, swoistej ludowości i dłużytn inscenizacyjnych (spektakl trwa cztery i pół godziny).

Moskiewskie studia nie nauczyły reżysera uwagi do Polski i Polaków. A tym samym szacunku dla polskiej literatury. Reżyser puścił wodze fantazji na całego. Tytułowy eklektyzm dominuje w całym przedstawieniu. Na początku jest konsternacja. Aktorzy żywcem wyjęci ze spektaklu Kantora. Statyczność figury inscenizacyjnej jest plastycznie urośliwa, ale niczemu tak naprawdę nie służy i konsternuje widza. Reżyser, trzeba mu to przyznać, jest konsekwentny w swoich nietuzinkowych pomysłach. Kiedy je jednak analizujemy, stwierdzamy, że niewiele mają wspólnego z naszymi „Dziadami”.

Nekrosius odziera dramat z tak znaczącej obrzędowości i obyczajowości. Już na początku sugeru-

je widzowi swoją drwinę, dystans i ironię. Reżyser swoje zabiegi inscenizacyjne realizuje jakby w opozycji do tekstu. A tym samym do jego idei. Takie spojrzenie na nasz narodowy dramat można nazwać li tylko wariacjami na temacie „Dziadów”, a nie rzetelną realizacją.



„Dziady”, scena ze spektaklu

I cóż z tego, że wielu krytyków zachwyca się tym, że te „Dziady” są bez patosu i koturnów? Tak naprawdę one nie są „Dziadami”. Wszystkie te inscenizacyjne dziwactwa rozgrywają się jakby w cieniu Mickiewicza (vide — ogromny posąg poety w tyle sceny). Scenicznym zabiegom towarzyszy (na szczęście interesująca, momentami piękna)

muzyka. Ale wszystko to nie ma myśli przewodniej, dramaturgicznego sensu. Na scenie pojawiają się ludowe makówki i płasająca Wiktoria Gorodeckaja, są jakieś doły, w które wpadają aktorzy. Nie udźwignął roli Gustawa — Konrada znakomity skądinąd Grzegorz Małecki. W zamysłach reżyserkich i aktorskiej interpretacji przepada Wielka Improwizacja, która jest sednem mickiewiczowskiego dramatu. Ta improwizacja nie jest żadnym wadzeniem się z Bogiem. To nie jest walka bohatera o rząd dusz. Co ma znaczyć ta interpretacyjna nonszalancja, którą zasugerował aktorowi reżyser? A na dodatek złe duchy zamknęły bohatera w trumnie utkanej z dzieł Mickiewicza.

Książd Piotr (Mateusz Rusin) ubrany w czerwone rajstopy przypomina bociana (co ma znaczyć ta symbolika?). Senator (Arkadiusz Janiczek) nie przeraża, lecz śmieszny po prostu.

Rollisonowa (Kinga Ilgner) to nie zrozpaczona, zagubiona, ponizona matka, ale jakaś neurotyczka w fazie agresji. W scenie więziennej młodzi buntownicy (ubrani w spodnie dzwony) z dra-

matu swoich przeżyć robią hucpę (przepada tak ważny monolog Jana). W salonie warszawskim grają w golfa.

Takie „Dziady” stworzył dla Polaków litewski reżyser.

MARZENA RUTKOWSKA